

Apolonia Cudna-Kowalska

Nie grały nam surmy bojowe...

Przegląd Pruszkowski nr 1, 40-47

2014

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Nie grały nam surmy bojowe...

Surmy nie grały, werble nie warczały, ale serca biły mocno. Dochodzące z niedalekiego frontu odgłosy armat budziły nadzieję na wolność!

1 dzień sierpnia 1944 roku zapisał się w pamięci jako dzień euforii i radości.

W południe od drużny „Aliny” (hm. Halina Drewnikówna-Raczyńska) otrzymuję rozkaz – mam się udać pod wskazany adres do Legionowa! Biegnę jak na skrzydłach. Docieram do piętrowej willi otoczonej drucianą siatką. Naciskam przycisk dzwonka u furtki. Dostaję się do wnętrza posesji. Ktoś uchyla drzwi, wymieniamy hasła, otrzymuję jakiś karteluszek. Ukrywam go w zakładkach skórzanego paska. W tym, wydaje się, bezpiecznym schowku noszę od 1942 roku krzyż harcerski... Wracam poboczem szosy Legionowo – Zegrze. Środkiem jezdni w kierunku na Radzymin suną kolumny niemieckich czołgów. Na ich cielskach żołnierze z bronią gotową do strzału. – *Fräulein, Fräulein!* – wołają. Ze wzrokiem wbitym w ziemię przyśpieszam kroku. Skręcam w prawo, mijam stację Legionowo i wzdłuż torów biegnę do Chotomowa. Za przystankiem Legionowo, na wysokości tzw. Dużej Wsi w Chotomowie spotykam grupę mężczyzn na torach. Rozkręcają szyny? Uciekaj stąd! – krzyczą. To była drużyna st. sierż. Kościelaka „Młota” z plutonu 700S, którym dowodził st. sierż. Stanisław Czarnacki „Czort”.

W gmachu szkoły czekają na mnie drużna „Alina” i jej przyboczna „Danka” (Halina Danuta Krasieńska). Przyniesiony karteluszek oddaję „Alinie”, natychmiast gdzieś z nim znika... Wraca i zarządza zbiórkę sanitariuszek w trybie alarmowym w gmachu szkoły na godzinę 17.00. Po latach dowiedziałam się, że z Legiono-

wa przyniosłam dla 3 kompanii chotomowskiej rozkaz rozpoczęcia powstania.

Na krótko przed godziną „W” wybiegam z domu z przewieszoną przez ramię torbą pierwszej pomocy. Ścieżką w ogrodzie maszeruje przede mną na punkt zborny ojciec z białą-czerwoną opaską na ramieniu, w berecie na głowie (Stanisław Cudny „Skiba” w godzinie „W” żołnierz Wojskowej Służby Ochrony Powstania). W drzwiach domu zapłakana mama... – Żebyście tylko jakiegoś nieszczęścia nie ściągnęli – słyszę.

W gmachu szkoły jest już zastęp instruktorski (Irena i Janka Daremniakówny, Henia Nagatówna, „Danka”). Zaczątki drużyny powstały w 1940 roku, a zastęp „Mrówek” w marcu 1942 roku. Wiosną tamtego roku na cmentarzu, osłonięte krzakami kwitnących fioletowo bzów, składałyśmy przyrzeczenie harcerskie – na prochy powstańca z 1863 roku. Wszystkie byłyśmy łączniczkami, kolporterkami prasy, ukończyłyśmy kurs sanitarny i pierwszej pomocy.

Trwamy w pełnym pogotowiu i nieprzepartej chęci działania... Niepokojąca cisza przedłuża się. Rośnie napięcie i nerwy. Ciszę oczekiwania przerywa nagle ogromny huk, łomot, potem terkot karabinów maszynowych. Dociera do nas wieść, że wyleciał z torów niemiecki pociąg wojskowy – na wysokości tzw. Dużej Wsi. Tam trwa walka. Wsłuchujemy się w jej odgłosy i czekamy... Są pierwsi ranni (Zbyszek Nagat „Róża”, Jerzy Dorosielski „Jur”), poległ w walce powstaniec (kpr. Mieczysław Wójcik „Wierzbą”, żołnierz 707 plutonu 3 kompanii). Z walczącymi oddziałami są sanitariuszki z Wojskowej Służby Kobiet – informuje nas „Alina”.

Dopiero pod wieczór otrzymujemy zadanie – mamy wynieść z wagonu sanitarnego, który był w składzie wykolejonego pociągu, sprzęt sanitarny, instrumenty chirurgiczne, medykamenty – wszystko, co może się przydać naszemu polowemu szpitalowi i nam sanitariuszkom.

Wokół zwałonego pociągu roi się od młodzieży chotomowskiej, starszej i młodszej, harcerek i harcerzy. Trzeba sprawności alpinisty, by dostać się do wagonu – wagon mocno przechylony, stopień

zewnątrzny za wysoko. Udała się wspinaczka! Sterczy w górze drugi kraniec podłogi. Nieprawdopodobnie dziwnie zmienione położenie ścian i sufitu wagonu.

Wewnątrz wagonu bogactwo sprzętu sanitarnego, instrumentów medycznych, leków, środków opatrunkowych, noszy, koców. Trzeba wydobywać, wrywać z umocowań paczki z medykamentami, rozrywać je i sprawdzać w pośpiechu zawartość. Sprzęt i paczki podajemy czy rzucamy w ręce stojących na dole. Potrzebny jest wóz. Mam przyprować wóz konny – otrzymuję polecenie. Jak na zawołanie zjawia się do pomocy kolega (Zbigniew Bziuk „Świerk”, żołnierz 708 plutonu 3 kompanii). Zygmunt zaprzęga konia do wozu, po chwili pędzimy wzdłuż torów... Bezenną zdobycz wojenną wywozimy i wynosimy do powstańczego polowego szpitala (komendant szpitala dr chirurg Jerzy Kuczamer „Stefan”) i do szkoły. Szybko zapadła noc, akcja więc zostaje przerwana.

Poranną ciszę dnia 2 sierpnia przerywa niepokojący warkot. To czołgi niemieckie... Kryjemy się w solidnych murach szkoły i oczekujemy na dalszy tok wydarzeń. Potem nastąpiła dzwoniąca w uszach cisza. Chotomów jakby wymarł, na ulicach pustki. Nie ma Niemców. Nasze powstańcze oddziały trwają gdzieś na wyznaczonych pozycjach.

Dzień 3 sierpnia był ciepły i parny. Parowała nasiąknięta niedawnym deszczem ziemia. Stawiamy się na zbiórce w szkole. Niepokoi nas brak „Oleńki”. W nastroju podenerwowania i niepokoju czuwamy. Od strony brukowanej drogi wystawione czujki.

3 sierpnia w południe przeżywamy odwet Niemców, pacyfikację Chotomowa i Legionowa – Przystanku. Niemcy plądrują i podpalają domy, wyciągają z domów ludzi i pędzą ich pod karabinami. Pociąg pancerny ziejże kulami. Płoną domy, są zabici i ranni. „Kłaniając się kulom” biegniemy z noszami za tory kolejowe. Przechodzimy pierwszy „chrzest” z ratownictwa sanitarnego. W lasku za gospodarstwem Stanisława Pontego leżą ciężko ranni matka i syn – Zofia i Wiesław Strojnowscy. Uciekli przed Niemcami z domu na III parceli i tu dosięgły ich kule. Krew sika fontanną

z szyi rannej... Siłą woli powstrzymuję odruch wymiotny, rzucam na otwartą ranę kłęb gazy, robię prowizoryczny opatrunek. We czwórce (Irena Pielak i Krystyna Grabowska z WSK i my harcerki) dźwigamy ranną na noszach do polowego szpitala. Druga grupa zajmuje się chłopcem. W drodze pani Zofia umiera... W szpitalu lekarz potwierdza jej zgon. Umiera też jej syn.

Od strony Legionowa – Przystanku słysząc salwę karabinową. Tam walczą nasi. Zaciskamy kciuki, by nie było więcej rannych i zabitych....

Główny ciężar walki spoczywa na chotomowskich plutonach (pluton 708 ppor. Zygmunta Dąbrowskiego „Błyskawicy” oraz pluton 707 kpr. Jana Raczyńskiego „Wiosny”). Na pomoc nadciągają plutony z Legionowa (pluton 709 st. bosmana Aleksandra Gierymskiego „Fali”, pluton 705 kpr. pchor. Ludwika Schmidta, pod koniec walki przybył też pluton 706 ppor. Jana Kalisiaka „Mistera” z Wieliszewa). Na polu walki poległ por. Stefan Krasieński, dowódca 3 kompanii, polegli jego żołnierze: kpr. pchor. Eligiusz Gierymski „Grom”, strz. Antek Grabowski „Czerwiec”, ciężko ranni zostali dowódcy plutonów: „Błyskawica” i „Rabczyk”. Około godziny 15 Niemcy zwinęli tyralierę, załadowali się do wagonów pociągu pancernego i odjechali do Nowego Dworu Mazowieckiego. Wywieźli z sobą grupę zakładników, wśród nich Barbarę Grabowską „Oleńkę” z naszego zastępu. Przeżyła. Mężczyźni powiązani drutem kolczastym zostali rozstrzelani.

Zadaniem 3 kompanii w godzinie „W” było odcięcie przerzutu wojsk niemieckich do Warszawy na linii kolejowej Warszawa – Modlin i osłona działań powstańców pułku „Marianowo”, „Brzozów” na terenie Legionowa. Komunikacja kolejowa z Warszawą została na kilka dni przerwana. Zadanie zostało wykonane z sukcesem, ale ten sukces został okupiony przelaną krwią i dużymi ofiarami.

Nocą kryjemy w grobowcach na cmentarzu Chotomowskich sprzęt chirurgiczny, medykamenty. Znaczącą część wywieziono wcześniej do szpitala w Legionowie przy ulicy Mickiewicza. Nie boimy się duchów, boimy się odwetu Niemców. Rano okazało się,

że w środku wsi stoi lśniąca szpitalną bielą stół operacyjny, z takim trudem wywleczony z niemieckiego wagonu sanitarnego. Jak to się stało?

Wkrótce zaroilo się od niemieckich żołnierzy frontowych. Pełno ich w każdym domu, na strychach domów, w stodołach. W ogrodach, skryte pod drzewami owocowymi dymią kuchnie polowe.

18 września 1944 roku, między godziną 13 a 14 niebo zakwitło kolorowymi spływającymi wolno na ziemię spadochronami. Była piękna słoneczna pogoda. Pod drzewami, za węglami domów kryją się uzbrojeni Niemcy – w przykłęku, kierują lufy karabinów w niebo.

Pod spadochronami widać podłużne kształty... Desant? Zaczęła się strzelanina. Po chwili przerwa i rechot Niemców. I znowu strzelanie ale na wiwat. To nie ludzie ale metalowe zasobniki z zaopatrzeniem dla walczącej Warszawy! Niemcy triumfalnie przywlekli kilka z nich na podwórze. Znaleźli w nich broń, medykamenty, suchary, gorzką czekoladę. Dla nas to było gorzkie wydarzenie.

Warszawa płonie, ciemna czasza dymu przesłania zachodzące słońce.

Słoneczny ranek 26 września 1944 zakłócili żandarmi. Wpadli na podwórze z krzykiem: – *Raus alles!* Za dwie godziny nie ma tu być nikogo! Krzyk, płacz, przerażenie. Jesteśmy nieprzygotowani, zaskoczeni. Przeżywamy dramat przesiedlenia.

Gonitwa po podwórzu za prosiakami. Ojciec podrzyna im gardła i rzuca na deski wozu, na dno, krew spływa na murawę podwórza. Mama odrąbuje siekierą głowy złapanych kur – ptaki bez głów skaczą w śmiertelnym piruecie. Worki z żywnością, garnki, miski, ubrania, piramida pierzyn, poduszek. Ojciec zaprzęga do wozu silnego, zadbanego konia. Idziemy całą rodziną wokół wozu drogą przez ogród na ulicę POW. Na skrzyżowaniu z ulicą Piusa XI masa wozów kłębowisko ludzi z tobołami na plecach z węzełkami dobytku w rękach. Ciągną objuczone wózki, rowery. Za chwilę przeżywamy dramat. Żandarmi każą ojcu wyprzęgać konia, zabierają

go. Wóz bez konia, dyszle rzucone na bruk. Rozpacz! Mama zalana łzami ciągnie mnie w kierunku żandarmów. – Przecież uczyłaś się niemieckiego, proś, by nam oddali konia. ...

To za pewne łzy mamy zmiękczyły serce żandarma, nie moja prośba. Żandarm prowadzi nas na ubocze. Stoi przywiązana do sztachet szkapa – żywy szkielet koński z pyskiem przeorany kulą. Ogromna rana ocieka niebieską cuchnącą ropą. Obsiadł ją rój much. Ojciec bez słowa zaprzęga tego konia nie-konia do wozu. Próba sił, wóz ani drgnie – koń też. Pchamy wszyscy ile sił. Ruszył!

Pod Jabłonną długi przymusowy wypoczynek. Szosa Jabłonna – Nowy Dwór Mazowiecki całkowicie zablokowana.

Pod wieczór ruszamy. Na rozjeżdżonej przez pojazdy drodze w rejonie Rajczewa, wiodącej ku przeprawie mostowej przez Wisłę, przeżywamy istną gehennę. Most pontonowy chybotrze się, konisko się chwieje, pchamy ile sił i wóz i konia. Z trudem dobrnęliśmy na drugi brzeg Wisły. Jest już całkiem ciemno. Wielokilometrowa kolumna wozów i ludzi daleko przed nami.

Konwojent poirytowany ponagla nas. Mama ukradkiem z zawiniątka wyłuskuje ślubną obrączkę, wciska ją do ręki Niemca, do kieszeni jego płaszcz wsuwa pół litra samogonu. – Mów, mów, że tu blisko mamy rodzinę – szepcze do mnie gorączkowo. Koń jakby się zmówił z nami, stanął u skrzyżowania z pełną drogą.

Niemiec rozgląda się uważnie. Wokół cisza, ani żywej duszy... – *Raus, schnell, schnell!* – krzyczy i sam pomaga, by wóz jak najszybciej skręcił na Dziekanów, i znikł. Siostra, ojciec, ja uniknęliśmy obozu w Pruszkowie, a może i wywózki do obozu w Niemczech. Uratowało nas biedne, ranne konisko.

18 stycznia 1945 roku, ledwie przewalił się front, ruszamy z Komorowa do Chotomowa na rekonesans, czy jest do czego wracać. Trzy młode dziewczyny: siostra Włada i Aniela z Dąbrowskich – 20-letnie panny i ja najmłodsza. Skrzy się w słońcu śnieg, mróz szczypie twarze. Pokonujemy dziesiątki kilometrów, na przełaj przez skutą lodem Wisłę. Ledwie żywe ze zmęczenia

i emocji docieramy do Nowego Dworu do rodziny Dąbrowskich, na nocleg.

Rano pod prąd radzieckich kolumn samochodowych biegniemy poboczem szosy Nowy Dwór – Jabłonna do Chotomowa. Trzy dziewczyny w mrowiu pracujących na Berlin żołnierzy. Skręcamy w chotomowski las. Po obu stronach szerokiej drogi zieją oczodołami wejść bunkry. W kałużach po jesiennych deszczach, teraz skutych lodem, tkwią trupy niemieckich żołnierzy. Strach jeży włosy.

Dom stoi, dach w połowie zerwany, spalona stodoła, szopa. Zadołowane zboże spalone na węgiel. Dół z kartoflami odkryty, kartofle zmrożone na kość. Niemcy nie zdążyli wyegzekwować jesiennych kontyngentów.

Wpadamy do otwartego na oścież domu. W izbie kuchennej leży wielkie cielsko pocisku armatniego. Gdyby wybuchł nie byłoby domu. Poprzez dziurę w suficie ze zwisającymi płatami otynkowania widać niebo. Brak drzwi, szyb w oknach, brak mebli! Ocalał jedynie wielki, ciężki dębowy kredens kuchenny – nie dali rady go wynieść. Ogród zryty dołami, okopami.

Ojciec sztukuje ocalałe kawałki szyb, resztę otworów okiennych zabija deskami. Uparcie przywracamy ciepło ogniska. Wojna oddała się, ale co rusz przypomina o sobie wybuchami min. Żyjemy w stałym zagrożeniu życia. Wszystkie pola i drogi zaminowane. Jeden nieopatrzny krok i tragedia.

15 lutego 1945 roku mina urwała nogę 32-letniej Janinie Rogowskiej, drugą poszarpała. Ktoś przybiegł po mnie, bym udzieliła pierwszej pomocy. Zrobiłam co mogłam. Towarzyszyłam rannej w drodze do szpitala na trzęsącej się furmance. Umarła na dziedzińcu szpitala na Grochowie. Bardzo przeżyłam jej śmierć.

Gdy przyszła wiosna, zaczęło się zasypywanie rowów, okopów. Na nasypach okopów biegnących przez pola białaty nagie ciała żołnierzy niemieckich, bez mundurów, bielizny, butów, pozostały tylko hełmy. Spoczęli na dnie zasypywanych okopów i rowów przeciwczołgowych. Z wiosną wylęgła się armia szcurów.

25 marca 1945 w niedzielę palmową wyciągnięta z ziemi mina wybuchła w rękach mojego jedyne go brata Piotra Jakuba.

Patrz Polu co mi się stało – powiedział. Na widok zwisających strzępów jego rąk zemdlałam. Drugi chłopiec odkręcał zapalnik, stracił prawą rękę. Mieli strzelać na wiwat w czasie rezurekcji wielkanocnej. Cudem ocalał trzeci chłopiec – przerażony wybuchem miny biegł w odwrotnym kierunku – przez pola minowe. Żadna mina nie wybuchła, a tkwiło ich w ziemi tysiące... To się nazywa mieć szczęście! Mojemu bratu zabrakło szczęścia – amputowano mu obie ręce do łokci.

Przez blisko miesiąc koczowałam w szpitalu doglądając Kubę oraz Tacka. Leżeli „na waleta” w jednym łóżku. Spełniałam posługę pielęgniarki, samarytanki i salowej wobec wszystkich leżących na sali żołnierzy frontowych. Przeżywałam śmierć każdego z nich. Cierpieliśmy głód – poszłam na pobliski bazar, by wyżebrać dwie bułki dla chłopców. Zabrakło mi odwagi. Dokuczały nam wszy gnieźdzące się w pościeli, w bandażach, ranach... Gdy gasło światło, wyłaziły w pakamerze na brudną bieliznę – było od nich czarno. Koszmar!

Te przeżycia tkwią wciąż w moich oczach i mózgu. Miałam wówczas 17 lat.